

Janusz Cyran

Zdrowaśka Za Nieśmiertelnego

Czerwcowe słońce stało wysoko. Tomek minął przydrożny drewniany kościółek z cmentarzem i zanurzył się w cieniu lasu. Na przemian szedł i biegł, poganiany radością dnia mieniącego się obietnicami nieskończonego popołudnia. Wysokie, rozłożyste dęby o popękanej korze, posadzone tu co najmniej sto lat temu, osypały się fioletowymi kiściami i pachniały mdląco, trochę jak rozkładające się zwłoki. Za ich szpalerem ciągnął się rów wypełniony zastałą wodą, którą porósł zgniło-zielony kozuch; dalej wybujate w wilgotnym upale poszycie leśne skrywało małe tajemnice przycupnięte w zielonych półcieniach.

Gdzieś z tyłu we wsi szczekał schrypnięty pies.

Tomek był szczęśliwy, ponieważ smakował po raz pierwszy niedozwolonej wolności. Był to już jeden, z ostatnich dni przed wakacjami; lekcje zaczynały się tego dnia w samo upalne południe i Tomek był sparaliżowany strachem w obliczu zbliżającej się lekcji śpiewu. Jak zwykle mimo rozpaczliwych wysiłków nie zdołał nauczyć się na pamięć kolejnego zestawu marsjańskich pieśni wojennych i mógł być niemal pewien, że nauczycielka muzyki, surowa, koścista panna, która znała wszystkie te pieśni na wrywki, znów odwoła się do kija, by wyrazić swoje niezadowolenie. Dlatego w nagłym przypiływie desperacji puścił się biegiem w jedną z bocznych uliczek i czując ogromną ulgę, pognął w stronę lasu, wymachując płóciennym workiem związanym sznurkiem.

Wchodził coraz głębiej w las. Wyboista droga zwężała się. Rosły teraz przy niej wysokie na półtora metra śmichoście, z drobnymi jasnozielonymi listkami i czerwonymi, pozawijanymi fantazyjnie kwiatami.

Tomek zbliżył twarz do kwiatów i delikatnie potrącił ich twarde łodygi. W tężejącym obłoku kwaśnego zapachu brzęczały mozolnie pszczoły, Bezwiednie zaczął nucić melodię jednej z tych głupich pieśni.

Wtrącał czasami jakieś zapamiętane słowo czy ułamek zdania, przerywając przekleństwem rzucanym pod adresem nauczycielki śpiewu. Gdyby nie ona, siedziałby teraz w dusznej klasie. To może i dobrze, że ta nauczycielka i jej kij istnieją? Ale istniała jeszcze jego mama, drobna, smutna kobieta, krzątająca się cały dzień przy gromadce jedenaściorga swoich dzieci. Jej mąż, ojciec Tomka, był kolejjarzem. Wkrótce po tym jak przyszli Marsjanie, sprawdzał pociąg wiozący jeńców. Szedł od wagonu do wagonu i stukał w każdą oś stalowym młotkiem. Stuk, stuk. Do każdego wagonu podchodzili żołnierze marsjańscy, otwierali drzwi i wypędzali jeńców na peron. Potem oficer po kolei wywoływał nazwisko, przyglądał się uważnie jeńcowi, robił haczyk w swoim grubym notatniku, a żołnierze wpędzali jeńca na powrót do – wagonu. Był wtedy mroźny styczniowy poranek i oddechy ludzi i Marsjan zamieniały się w białe obłoczki. Wszyscy jeńcy byli jeszcze żywi, ponieważ był to początek ich podróży.

Oficer wykrzykiwał śpiewnie nazwiska; czasami któryś z jeńców, uderzony kolbą długiego karabinu, krzyknął.

Oficer wyśpiewał kolejne nazwisko. Ojciec Tomka zbliżał się do niego. Stuk, stuk.

– Zaremski!

Oficer patrzył z pogodną pobłażliwością na stadko wynędzniałych, skulonych mężczyzn.

– Zaremski! Nie ma?! – spojrzał zafrasowany do swojej listy. – Zaremski nie ma – mruknął do siebie.

Stuk, stuk. Oficer podniósł wzrok i jego spojrzenie spotkało się ze spojrzeniem ojca Tomka.

– Zaremski! – wykrzyknął z radością oficer.

Powiedział coś szybko i roześmiał się. Żołnierze podbiegli do kolejarza i łapiąc go za ramiona, przywlekli do oficera. – Ty Zaremski! – wykrzyknął tryumfalnie oficer do osłupiałego ojca i zrobił kolejny haczyk w notatniku. Jeden z żołnierzy odebrał ojcu młotek i rzucił go na ziemię, po czym ojca wepchnęli do wagonu. Od tego dnia więcej go nie widziano. Mimo tego kompromitującego wypadku matkę Tomka nie spotkało nic złego, co więcej, dostała nawet pracę na kolei i zajmowała się pieleniem torów.

Tomek myślał przez chwilę o matce. Ona nie używała kija, ale za to zawsze mogła powiedzieć coś dziwnego, nie do końca zrozumiałego – niby nic przykrego, ale Tomek za każdym razem długo musiał z tym chodzić jak z przywiązaną do nogi ołowianą kulą. I tym razem z pewnością nie będzie zadowolona, jeśli dowie się, że poszedł na węgry. Przysiadł na pniu zwalonego drzewa i rozwiązał worek. Wyciągnął poobijaną wojskową manierkę i napił się z niej trochę letniej, gorzkiej herbaty. Poczł nagle straszny głód.

Wyciągnął chleb zapakowany w brunatny, zatłuszczony papier i patrzył przez chwilę na zawiniątko, jednak w końcu schował je. Zje na miejscu, na swojej polanie, tam dokąd zmierzał.

Polana nie była już daleko. Dotarł do niej po pół godziny. Kiedy zbliżał się do niej, zobaczył pomiędzy pniami drzew wysoki parkan. Przystanął i rozejrzał się.

Niedaleko odmierzała czas kukułka.

Na polanie nigdy nie było żadnego parkanu. Było to najbardziej bezludne i opuszczone miejsce w lesie. Po drugiej stronie do polany, na której sterczały zgliszcza spalonej leśniczówki, dochodziła zapuszczona i zarośnięta wysoką trawą droga. Tomek zszedł ze ścieżki. Wszedł pomiędzy wielkie paprocie i schylając się podszedł do parkanu. Parkan był wykonany ze świeżych desek przybitych wielkimi zardzewiałymi gwoździami do osadzonych w ziemi pniaków.

Pomiędzy nierównymi deskami prześwitywało światło.

Tomek położył się na brzuchu i popatrzył przez szparę.

Deski pachniały ostro i nieprzyjemnie. Musiały być czymś nasączone. Był to jeden z tych dziwnych zapachów, jakie przynieśli ze sobą Marsjanie.

Ruiny leśniczówki były na swoim miejscu, po przeciwnej stronie. Całą polanę otaczał parkan, tylko na

prawo od ruin uchylona do połowy brama odsłaniała drogę. Przy bramie stała drewniana wieża obserwacyjna. Bliżej, przed ruinami, był wykopany głęboki na kilką metrów rów. Na lewo od rowu, za stertą żółtego piachu, stała marsjańska maszyna ziemna, z błyszczącym, lekko uniesionym lemieszem i opuszczoną potężną łyżką, które wyglądały razem jak szczęki pokracznego, niezdarnego owada. Cały teren polany przeorany był gąsienicami maszyny. W powietrzu wisiał ciężki, duszący zapach rozlanego paliwa.

Tomek, nie zauważywszy nikogo, westchnął ciężko.

Odszedł od parkanu w cień drzew. Wymościł sobie miejsce liśćmi paproci i usiadł na nich, po czym wyciągnął ze swojego worka zeszyt, dwie książki w twardych okładkach, piórnik, manierkę i chleb.

Zanotował w tyle zeszytu datę i napisał przy niej starannie – „Zniszczyli polanę” – a potem zabrał się łapczywie do jedzenia. Kiedy skończył, położył się i zaraz zasnął. Spał już może godzinę, kiedy obudził go warkot silników. Hałas dochodził od strony polany.

Otworzył oczy i przez chwilę nasłuchiwał w bezruchu.

Słońce zniżyło się i musiała już być pewnie piąta.

Warkot zbliżał się. Jakieś pojazdy wjeżdżały na polanę, zaraz też rozległy się głośne, śpiewne krzyki. Tomek podkraść się ku parkanowi i chowając się w paprociach spojrzął przez szparę.

Na polanę wjechało pięć ciężarówek. Z dwóch wysypali się żołnierze. Byli ubrani jak żołnierze marsjańscy, ale większość miała miejscowe rysy. Tylko oficerowie, którzy nimi dowodzili, wyglądali na typowych Marsjan. To oni właśnie wykrzykiwali głośno rozkazy. Przez rów przerzucono kilka szerokich desek, co dwa metry, po dwie położone obok siebie.

Żołnierze śpieszyli się. Wykonywali swoje czynności wprawnie, bez wahania, najwidoczniej nie po raz pierwszy uczestniczyli w podobnej akcji. W trzech pozostałych ciężarówkach, przykrytych plandekami, byli bandyci. Żołnierze wyciągali ich pojedynczo.

Bandyci mieli na sobie poszarpane, brudne, zakrwawione ubrania, niektórzy części starego umundurowania różnego pochodzenia, inni ubrani byli jak wieśniacy. Wszyscy byli bosi. Kiedy zrywano im z oczu opaski, rozglądali się wokół nieprzytomnie i zaraz byli popędzani długimi marsjańskimi bagnetami w stronę rowu. Prawie wszyscy mieli opuchnięte, poczerwiałe twarze i ręce związane z tyłu drutem kolczastym. Tomek zaraz po nadejściu Marsjan widział, jak działa taka maszyna do wiązania rąk drutem. Był to zimowy, bury, wietrzny dzień. Cała rodzina Tomka była wtedy w mieście; ukrywali się u krewnych, bo z niewiadomych przyczyn rodzicom wydawało się, że nadejście frontu będzie można przeżyć bezpieczniej właśnie tam. Zresztą może było jeszcze inaczej. Tomek, jego starsza siostra Kasia i kuzyn Franek siedzieli na strychu budynku gimnazjum i patrzyli na przylegający do niego plac. Z piwnicy wychodzili jeńcy i podchodzili do wysokiej żelaznej szafy, z której wystawały dwa teleskopowe ramiona zakończone pierścieniami. Dwaj marsjańscy żołnierze łapali jeńca, wykręcali mu ręce do tyłu i wsuwali do otworów w stojaku umieszczonym przed szafą. Oficer stojący przy szafie pociągał wtedy za dźwignię, teleskopowe ramiona z warkotem poruszały się i zaciskały pierścienie na rękach schwytanego, tuż

poniżej łokci, jeniec krzychał z bólu, ramiona cofały się do tyłu, a na jego rękach zostawał wieniec z nowego, lśniącego drutu. Może już ze dwudziesty jeniec krzyknął dużo bardziej przeraźliwie niż poprzedni. Pierścienie cofnęły się, a przedramiona jeńca upadły na ziemię. Jeniec krzychał jeszcze chwilę, wymachując kikutami i bluzgając krwią, a Marsjanie zataczali się ze śmiechu.

Potem jeniec upadł i przestał się ruszać. Następny nie chciał podejść do maszyny i musieli zbić go niemal do nieprzytomności, żeby wsunąć mu ręce do otworów stojaka. Maszyna odcięła ręce jeszcze ośmiu następnym jeńcom, zanim Marsjanie znudzili się. Przerwali wtedy operację, czekając na przyjazd nowej maszyny.

Drut krępujący ręce, bandytów był dokładnie taki sam. Każdy kolejny bandyta był wpychany na kładkę przerzuconą przez rów. Przy każdej kładce stało dwóch żołnierzy. Kiedy bandyta, odwrócony do nich plecami, skulony, stawał na środku kładki, oficer wydawał komendę, a żołnierze mierzyli do bandyty i strzelali.

Oficer patrzył w dół, tam gdzie upadał bandyta, i niekiedy strzelał jeszcze ze swojego pistoletu. Nie wszyscy bandyci umieli chodzić. Niektórzy byli nieprzytomni. Tych żołnierze przeciągali na brzeg rowu, oficer strzelał im w głowę, po czym żołnierze spychali bezwładne ciało w dół. Tomek patrzył przez szparę i zastanawiał się, co robić. Na wieży przy bramie stał wartownik i patrzył w stronę drogi. Ale inni wartownicy mogli kręcić się w pobliżu. Wzdłuż parkanu mógł również pojawić się patrol. Na myśl o tym Tomek skulił się pod przykryciem z gęstych paproci. Gdyby go tu znaleźli, byłoby po nim. Doszedł do wniosku, że jeśli na zewnątrz są jacyś żołnierze, to pewnie w lesie, trochę dalej od polany. W każdym razie bezpieczniej było nie ruszać się, póki wojsko było na miejscu.

Strzały i krzyki rozlegały się bez przerwy i Tomek przestał wdrygać się na ich dźwięk. Znow zbliżył oczy do szpary między deskami. Trzy opróżnione ciężarówki właśnie odjeżdżały z polany. Żołnierze zebrali deski znad dołu i porzucili je na stos, po czym zebrali się w grupy i zaczęli palić papierosy. Nie rozmawiali ze sobą.

Maszyna ziemna ryknęła i strzeliła pióropuszem dymu z pionowej rury wydechowej. Wysięgnik z tyżką złożył się i powędrował do tyłu maszyny, a lemiesz wysunął się do przodu. Po chwili odór świeżych, rozgrzanych spalin dotarł do nozdrzy Tomka. Pierwsza porcja piachu zwała się do rowu. Maszyna cofnęła się, a jeden z oficerów podszedł do kabiny kierowcy i przekrzykiwał hałas silnika. Maszyna znow skoczyła do przodu, teraz raźniej. Po kilku minutach rów był zasypany. Kiedy ciężarówki z żołnierzami odjechały, zapadła dzwoniąca w uszach cisza. Nieśmiało odezwała się kukułka. Maszyna ziemna została na miejscu.

Tomek obszedł ostrożnie parkan i stanął przy bramie.

Nikogo nie spostrzegł. Podbiegł do maszyny;

wspierając stopę o ramię lemiesza wskoczył na gąsienicę, a potem na schodek przy kabinie kierowcy.

Szarpnął za klamkę drzwi. Były zamknięte. Ale okienko było uchylone. Nacisnął na nie. Opadło z łatwością w dół. W kabinie śmierdziało ciągle spalinami jak w komorze gazowej. Tomek usadowił się na

żelaznym krzeselku i złapał za drążek sterowania.

Zamknął oczy i wyobraził sobie, że maszyna zaczyna znów ryczeć i miażdżąc gąsienicami grunt posuwać się do przodu. Coś przy bramie zaszeleściło. Tomek zeszywniał ze strachu. Zobaczył, jak jakieś płowe, niskie zwierzę staje w bramie, a potem schyla się i ucieka gdzieś w bok. Wylazł z kabiny i zeskoczył na ziemię. Tuż przy świeżym piachu zasypanego rowu, wśród rozrzuconych łusek karabinowych zobaczył na ziemi jakiś podłużny przedmiot. Podszedł i podniósł go.

Był to wojskowy pas, przedwojenny. Zwinął go starannie i schował do swojego worka. Była już może siódma, ale słońce stało ciągle dość wysoko. Wracał do domu z ociąganiem – mama musiała już wiedzieć, że nie poszedł do szkoły. Basia na pewno na niego doniosła.

Wieczne słońce złociło gęstwiny śmichości. Ich kwiaty zaczynały się powoli zamykać. To był najpiękniejszy kawałek drogi. Tomek potrącił znów łodygi i poczuł kwaśny zapach wydzielany przez liście.

I wtedy zobaczył kątem oka, jak z powietrza wynurza się kawałek błękitu. Błękit przybrał kształt kartki i sfrunął na ziemię u jego stóp. Przykucnął. Na niebieskiej, gładkiej, aż błyszczącej kartce, wiły się czarne robaczki żywych znaczków. Grupowały się, falowały, mżyły, aż wreszcie przybrały kształt znanych Tomkowi liter i znieruchomiały. Tomek dotknął kartki.

Była sucha i chłodna. Podniósł ją i przeczytał na głos:

„Mój drogi nieznajomy czytelniku! Proszę, zechciej przeczytać to, co do Ciebie napisałem. Przesłanie Ci tej wiadomości nie było łatwe...”.

Tomek rozejrzał się. Był zadowolony, że coś tajemniczego i niespodziewanego odsuwało jego myśli od tego, co zdarzy się po powrocie do domu. Przysiadł na skraju ścieżki oparłszy się o pień drzewa.

„Przesłanie Ci tej wiadomości nie było łatwe...”

Prawdę powiedziawszy długo nie wiedziałem, iż jest to w ogóle możliwe – i rzeczywiście, okazało się być blisko samej granicy możliwości. Musiałem jednak to zrobić; była to jedna z niewielu rzeczy, jakie nadawały ostatnio sens memu tutaj istnieniu. Dlatego błagam Cię, jeśli trzymasz teraz ten list w swoim ręku, nie odrzucaj go i wytrwaj do końca.

Bardzo dawno temu podjąłem decyzję, której wagi nie potrafiłem wtedy w pełni docenić. Zdecydowałem się, aby po mojej śmierci zachowano moje ciało, tak aby kiedyś, jeśli okaże się to możliwe, zostało przywrócone do życia. Nie żywiłem nadmiernych nadziei, jednak uważałem, że lepsze to niż zupełny ich brak. Tak więc podjąłem odpowiednie kroki i stałem się klientem jednej z organizacji zajmujących się opieką nad ludźmi takimi jak ja – pragnącymi przedłużyć swe istnienie poza śmierć. Po wielu latach decyzja ta zaczęła stawać się dla mnie coraz mniej istotna, tak jak wszystko, jednak nie wycofałem się z niej. Być może uczyniłbym to, gdybym musiał ponosić jakieś dodatkowe koszty. Jednak ponieważ całość wydatków miała być pokryta dzięki mojej polisie ubezpieczeniowej, to nie zerwałem kontraktu.

Wszystko rozegrało się niespodziewanie i tak szybko, że nie umiem nawet powiedzieć, co było przyczyną

mojej zapaści. Ból, hałas, wirujące wokół twarzy i pomieszane głosy, a potem aksamitna czern wypełniona pulsującym, ciepłym rytmem, od którego było mi niedobrze.

Miałem dobrą śmierć, taką, jaka zdarza się bardzo rzadko, niemal bez cierpienia. Zrozumiałem to w chwilę później, kiedy zaczynałem się budzić. Słyszałem szum, jakieś uspokajające, kobiece głosy, niezrozumiałe śpiewy. Siedziałem na szezlongu pośrodku ogrodu pełnego kwiatów. Przede mną stała młoda kobieta w zwiewnej, barwnej sukni. „Czy odpowiada ci mój wygląd?” – zapytała. Byłem zbyt oszołomiony, by cokolwiek odpowiedzieć.

Uśmiechnęła się ze zrozumieniem. „Jakie to piękne.

Znów żyjesz. Będziesz mógł spotykać się ze swoimi dawnymi przyjaciółmi, a także znajdować nowych. Ja nie jestem człowiekiem, jestem twoim sługą i przewodnikiem. Cały ten świat wokoło jest twoim sługą”. Przepuszczam, że to prawda. Rzeczywiście znalazłem się w świecie, który mógł spełnić każdy mój kaprys. – Poznając go, zaczynałem powoli rozumieć, że najpewniej każdy z nas, ludzi, którzy przebudzili się po najgłębszym ze snów, otrzymał w podarunku nowe życie i razem z nim nowy świat, ulegający naszej woli tak, jak miękka plastelina poddaje się ugniatającym je palcom.

Ja sam nie zmieniłem się, byłem tym samym człowiekiem, co przedtem. Zateśniłem do tego życia, które przeminęło. Szybko okazało się, że nie przeminęło tak zupełnie, bo mogłem przywoływać do woli przeszłość, taką, jaka była, z ludźmi, którzy mnie wówczas otaczali, miastami, krajobrazami, zapachami i porami roku. Wszystko to przychodziło do mnie, a ja znajdowałem się pośrodku jak onieśmielony, niewprawny aktor na scenie, na której występował dotychczas tylko raz. Powiedzenie, iż nic dwa razy się nie zdarza straciło zupełnie sens. Wszystko, co było, a także wszystko, co zdarzało się tutaj, teraz, mogło zdarzyć się ponownie, w nieskończonej liczbie wariantów różniących się nieznacznie albo bardzo znacznie od siebie, tak jak w sztuce teatralnej rozgrywającej się na ogromnej scenie całego świata, przyjmującego dowolne, zależne od mojej woli, kształty. Spotykałem ludzi, których niegdyś skrzywdziłem i próbowałem naprawić to, co się zdarzyło; kobiety, które kochałem, a którym nie zdążyłem wyszeptać wszystkich czułych słów, jakie znałem. Odnajdywałem mężczyzn, których podziwiałem i z którymi zawsze chciałem pogadać, a nie znalazłem dobrej sposobności, by to uczynić.

Stopniowo dowiedziałem się i więcej. Ten obecny mój świat był najprostszym z możliwych i znajdował się na samym dnie złożonej hierarchii światów. Ponad nim były inne, zamieszkane przez istoty wywodzące się z ludzi, ale tak odmienione, iż niemal niezrozumiałe.

Zaś ponad nimi były jeszcze inne, jeszcze bardziej złożone, takie, że stanowiły prawie jedność z świadomościami w nich bytującymi. Dowiedziałem się też i tego, że również dla mnie droga ku wyższym piętrům jest otwarta. Wchodziłem na ścieżki tam prowadzące, jednak cofałem się, zdjęty uczuciem niesmaku, budzonym obcością zbyt dla mnie wielką.

Mogłem porzucić krok za krokiem swoją tożsamość i przemienić się w jeden z tych bytów nadrzędnych, lub też zespolić się i oddać takiemu, który by mnie przyjął w siebie i zachował część mojego jestestwa. Nie zrobiłem tego. Nie zdradziłem swojej słabości i prostoty. Na pokusę: skomplikuj się! – moje wnętrze odpowiadało: nie chcę przestać istnieć i stać się czymś zupełnie innym, czymś, co może pogardzać tym,

czym byłem dotychczas. Pokusa szeptała: przecież i tak w dawnym życiu porzucałeś kolejne swoje poczwarki, z dziecka stając się chłopcem, potem mężczyzną i starcem, dlaczego więc teraz wzdragasz się przed przemianą? Tamte przemiany, odpowiadałem sobie, były czymś jednak innym, a różnica jest trudna do wysłowienia. Kiedy teraz zbliżałem się do owych górnych pięter wieloświata, odczuwałem lęk, a także smutek, żal i tęsknotę za tymi kruchymi, słabymi i nieporadnymi istotami, jakie miałem zostawić za sobą, jakie miałem zdradzić, bo zdrada siebie samego nie była aż tak znów ważna. Wszyscy oni, choć ich statusu obecnego do końca nie pojmowałem, byli mi bliżsi niż te nowotworowo narosłe piętra coraz bardziej złożonej doskonałości. Ta mi była obca. Ich naturę, człowieczą, ułomną, znałem i kochałem. Przeżywałem więc po raz tysięczny pierwszą miłość, narodziny mojego pierwszego dziecka, śmierć bliskich i opłakiwałem ich wciąż na nowo, jakby nigdy mi tego nie było dosyć, jakbym nie umiał wyczerpać dawno zda się wygasłego bólu i melancholii. Wybaczcie mi wszyscy, kochałem was tak bardzo, krzychałem do nich, a oni nie rozumieli mnie, biorąc to za wybuch szaleństwa albo dowód zdziecinnienia, w zależności od wieku, w którym byłem. Zapragnąłem w końcu śmierci, zwykłej, jaka zdarza się tylko raz i nieodwołalnie. Chciałem ciszy i ukojenia, jakie tylko nieistnienie może nam dać.

Wszystko to okazało się możliwe i proste w świecie, w którym się znalazłem. Każdy z tych ludzi był dostępny zawsze, kiedy miałem na to ochotę.

Zapytałem więc swojego zwiewnego przewodnika:

„Czy ci wszyscy ludzie, którzy tu mnie otaczają, są prawdziwi”? „Oczywiście – kobieta uśmiechnęła się. – Są dokładnie tacy sami jak przed śmiercią. Zostali odtworzeni i nie ma sposobu, by ich odróżnić od poprzednich ich wcieleń”. „Ale przecież są tutaj na każde moje zawołanie, tak jakby byli przymuszani do odgrywania przygotowanych ról, nie mogąc wybrać sobie ani czasu, ani tekstu odgrywanej sztuki”. „Z czasem poznasz lepiej zasady tego świata – powiedziała kobieta. – Wszyscy ci ludzie powoływani są do istnienia wtedy, gdy są potrzebni w twoim otoczeniu. Jednak każdy z nich jako osoba posiada też swój własny świat, którym rozporządza do woli”, „Czy to znaczy, że ci ludzie, z którymi teraz się tu znajduję” – wskazałem szerokim gestem na przechodniów śpieszących chodnikiem miasta – „że wszyscy ci ludzie są bezwolnymi kukłami? Że nie posiadają własnej woli?”.

„Oczywiście nie. Są dokładnie takimi samymi ludźmi jak ty. Ale ich prawa w tym właśnie świecie są inne niż twoje. Są zwykłymi ludźmi. Natomiast ty jesteś tu Gospodarzem. Podobnie inne twoje wcielenia istnieją w innych światach, których Gospodarzami są inni ludzie”.

„A zatem ci wszyscy ludzie zależą od mojej łaski i niełaski?”. „Nie, to nieprawda, nie możesz robić wszystkiego, co ci się podoba. Możesz wybierać dowolną wersję twojego świata, ale po dokonaniu wyboru musisz trzymać się jego reguł. Chyba że kolejna wersja twojego świata nuży cię i zmieniasz ją na inną. Zatem, choć masz w swoim świecie inne prawa niż pozostali, to nie jesteś tu absolutnym władcą”. „Ale ja chcę spotkać się z tymi ludźmi w tym samym świecie, chcę być z nimi dokładnie na tych samych prawach, co oni ze mną! Nie chcę obcować z marionetkami!”. Kobieta pokręciła przeczący głową.

„Nie rozumiesz tego jeszcze dość dobrze. Ci ludzie są dokładnie tak samo realni, albo tak samo nierealni jak ty. Nie ma, nie może w nich być niczego więcej niż to, co jest. Nie możesz współistnieć z nimi inaczej.

Chciałbyś większej z nimi bliskości i większej autentyczności, ale czy taką bliskość udawało ci się osiągać w twoim dawnym świecie? To złudzenie.

Przypomnij sobie. To tylko złudzenie wytwarzane przez aurę obecnego świata. W twoim pierwszym świecie było przecież tak samo. Ty istniałeś dla siebie inaczej niż wszyscy inni dla ciebie. Nieprawdaż?”.

Nie jest to jednak możliwe. To jedyna rzecz tu niewykonalna, bo prawdziwą bezwyjątkową zasadą jest tu zachowanie istnienia. Zawisłem w nieśmiertelności jak w klatce o stalowych prętach i bez wyjścia, mając do wyboru tylko rozpacz, bez możliwości odkupienia, albo pochłaniającą, wszystkożerną i puchnącą obcość, która mnie odstręczała. Czy jest więc coś dziwnego w tym, że zapragnąłem przynajmniej móc odezwać się do Ciebie, Ty, którego imienia nie znam? Mój świat jest tuż obok Twojego, wciśnięty w najciaśniejsze jego szczeliny schowany i zwinięty w najdrobniejszych supełkach czasoprzestrzeni, tak jak Twój świat jest zatknięty pomiędzy supełki mojego. Dlatego właśnie udało mi się przestać ten list. Jeśli zdołałeś go przeczytać do końca, dziękuję Ci. Pomyśl o mnie czasem. Zmów za mnie modlitwę, jeśli umiesz się modlić. Myślałem często o tym, że te dawne zwodnicze przesady były takie śmieszne i kłamliwe. Jednak nie możesz uczynić dla mnie niczego więcej. Ani też pewnie dla siebie. Dlatego proszę cię o to jedno. A teraz żegnaj”.

Tomek niewiele z tego zrozumiał. Właściwie ledwie zdołał przeczytać list do końca. Wahał się przez chwilę, czy zabrać go ze sobą. Zdecydował, że zostawi go tutaj, na ścieżce, obok zarośli. Nie miał pewności, czy nie było w nim czegoś, co mogłoby zostać uznane za wywrotowe. A miał już przecież w swoim worku przedwojenny pas wojskowy, wystarczający powód do tego, by mieć kłopoty. Ale nie chciał też niszczyć listu, dlatego położył go na ziemi. Przyklęknął jeszcze raz i dotknął go czubkami palców, jakby chcąc się upewnić, że istnieje, a potem pobiegł w stronę domu.

Było to dziwne, ale mama nie powiedziała mu właściwie nic takiego, co byłoby trudne do zniesienia.

Powiedziała tylko: „Co, miałeś coś ciekawszego do roboty niż śpiewanie?”, i potarmościła jego czuprynę.

Była zamyślona i smutna.

Wiele lat potem Tomasz ciągle przypominał sobie ów dzień. Wydawało mu się, że z każdym rokiem rozumie coraz lepiej treść listu. Chociaż jako dziecko nie umiał nauczyć się nigdy na pamięć żadnego tekstu marsjańskiej pieśni wojennej, to list zapamiętał bardzo dobrze. Wychowano go na dobrego, światłego obywatela i nie wierzył już w stare przesady. Często jednak, wspomniawszy list, zaczynał coś szeptać pod nosem, bardzo cicho, tak aby nikt nie mógł usłyszeć.